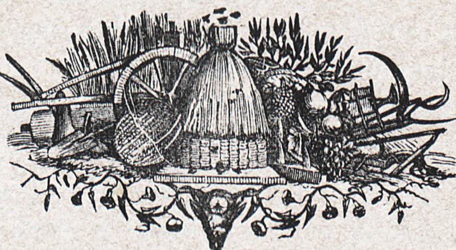
Tom XV. Nr. 6.
21. sierpnia 1866.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zapis dla synów włościańskich.

Nauka była zawsze dla ludzi skarbem prawdziwym — ale dziś ona jest dla każdego prawie tyle niezbędną, co chleb powszedni. Dawnemi wieki, choć nauka zawsze wysoko była cenioną, to przecież łatwiej się bez niej można było obejść, ale dziś prawie bez nauki żyć nie można. Wszędzie też po całym świecie uznają to ludzie i biorą się pilnie do nauki, kształcą się nietylko młodzi ale i starzy, a wszędy lud wiejski nabiera oświaty, u nas tylko po wsiach panuje jeszcze ciemnota.

Wielu jest jeszcze między ludem wiejskim, którzy nietylko że sami bardzo są ciemni na umyśle, ale do tego nawet uznać nie chcą, że nauka jest potrzebną. ‹Na co mnie chłopu od pługa zda się nauka› — mówi jeden i drugi, i dla tej fałszywej przyczyny nawet swych dzieci uczyć nie da. A tu tymczasem nauka potrzebna jest tak samo wieśniakowi jak i panu. Abyś był cnotliwym i prawym potrzeba ci nauki — bo tylko przez naukę religji poznasz wszystkie twoje chrześcijańskie obowiązki i rozświecisz sumienie prawdziwem światłem. Abyś był dobrym Polakiem — potrzeba ci nauki — bo tylko nauka wskaże ci obo-

wiązki jakie masz dla ojczyzny i dla twoich rodaków. Abyś był bogatym — trzeba ci nauki, bo do mienia prowadzi tylko dobre gospodarstwo, a do dobrego gospodarstwa prowadzi znowu tylko nauka, bez której nie potrafisz wyciągnąć z ziemi twojej ten zysk obfity, jaki ona kryje w sobie.

A jeżeli nauka wiedzie do moralności, pracy, obywatelstwa i mienia — to za ciemnotą znowu idzie w ślad występek i nędza. Dlatego też wołamy i zawsze wołać będziemy do was, abyście oświecali nauką umysły wasze, a jeżeli to dla was już za późno, to abyście się starali dać naukę dzieciom waszym, jeżeli je kochacie i życzycie im dobrej doli na świecie.

Dziś oświata jest łatwiejszą niż za dawniejszych czasów. Wychodzą dla was teraz osobne gazety, drukują się pouczające i piękne książki o moralności, o historji polskiej, o cudach świata, o gospodarstwie — prawie w każdej wsi jest szkółka mała, w każdem mieście szkoła wyższa, a przy jakiem takiem staraniu może dziś każdy zamożniejszy wieśniak wykształcić swego syna na światłego i uczonego gospodarza, a jeżeli mu Bóg dopomoże, to i na urzędnika lub księdza.

Nie brak też i na takich zacnych ludziach a dobrodziejach waszych, co wam pomagają, czem mogą do oświaty i sami wam dają dobrą sposobność do ręki. Przed rokiem donosiliśmy wam, jak to xiądz proboszcz z Wierzchosławic, Neronowicz, umierając, poczynił zapisy dla zapomogi takich wiejskich chłopaków, którzy się pilnie uczą — teraz zaś podajemy wam taki drugi czyn szlachetny do wiadomości.

Oto xsiądz Szczęsny Skibiński, rzymsko-katolicki proboszcz w Zarszynie, przeznaczył kapitał dziesięć tysięcy złotych reńskich z zastrzeżeniem dla siebie pobierania dożywotniego procentu — jako fundusz na utworzenie po jego śmierci stypendjów czyli wsparć dla biednej uczącej się młodzieży chłopskiej pod nazwą: „Stypendja chłopskie fundacji xięcia Szczęsnego Skibińskiego Proboszcza Zarszyńskiego“ pod następującemi warunkami:

1) Zapisany kapitał ma być złożony w kasie Wydziału krajowego galicyjskiego lub tej Władzy, którąby na miejsce tego Wydziału kiedyś ustanowioną była.

2) Kapitał ten podziela się na pięć części po dwa tysiące złr. a każda część stanowi jedno wsparcie (stypendyum).

3) Odsetki czyli procenta od każdego z tych pięciu kapitałów będą się co pół roku odbierać i stypendystom t. j. uznanym za godnych tego wsparcia wypłacać.

4) Te zapomogi czyli stypendja udzielane będą synom ubogich włościan bez różnicy religji, obrządku i narodowości, byle tylko zamieszkałych w tej części dawnej Polski, która obecnie pod panowaniem austrjackiem zostaje, uczęszczającym do publicznych szkół średnich lub wyższych.

Na te stypendja ma być rozpisany konkurs (wezwanie do zgłoszenia się) a rozdanie ich przysłuża galicyjskiemu Wydziałowi krajowemu. Prośby mają być podawane do tegoż Wydziału i zaopatrzone metryką urodzenia, zaświadczeniami szkolnemi i ubóstwa, nakoniec zaświadczeniem przełożonego parafji, podpisanem przez trzech członków gminy — że ojciec ubiegającego się o stypendjum ucznia jest obyczajnym, religijnym i „że wódki i innych upajających trunków nigdy nie pije.“ Najuboższy a względnie sierota ma pierwszeństwo.

5) Jedynie w braku zgłaszających się z stanu chłopskiego udzieli się stypendjum synowi rzemieślnika mieszkającego na wsi.

6) Obdarzeni raz, pobierają stypendjum aż do ukończenia nauk.

7) Gdyby kiedy chciano użyć majątku tej fundacji na inny cel jak fundator uznaje i zapisuje, natenczas cały majątek ma być zwrócony rodzinie fundatora nazwiska Skibińskich do wolnego ich użycia i na zupełną ich własność.

Fundacja ta przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie w bieżącym roku zatwierdzoną została.

Widzicie tedy, że na mocy tego zapisu, pięciu synów włościańskich będzie miało w naukach zapomogę i pobierać będzie po 100 reńskich rocznie, aż do pokończenia szkół. Spamiętajcież sobie nazwisko tego szlachetnego kapłana, xiędza Szczęsnego Skibińskiego, który ludowi wiejskiemu taką po sobie zostawi pamiątkę.

*

Podobny zapis uczynił także zacny pan, hrabia Alfred Potocki z Łańcuta. Ustanowił on 8 zapomóg dla biednych chłopców, którzy się pilnie uczą. Jedna zapomoga wynosi 300 reńskich rocznie, potem są dwie po 250 złr., a dwie po 120 złr. rocznie. Jedną część tych zapomóg przeznaczył hrabia Potocki wyraźnie dla synów wieśniaczych z wsi w dobrach łańcuckich.

Zacni chłopkowie.

Podajemy wam tu piękny wiersz o jednym szlachetnym czynie włościan. Było to za dawnych czasów, kiedy to nasi ojcowie musieli walczyć z poganami. Pewien pan polski, zwany Jaśkiem z Nowego Miasta — pojął był właśnie młodą i piękną żonę, kiedy napadli na Polskę poganie. Ale że każdy Polak zawsze dla dobra ojczyzny wszystko poświęcał, więc i ów Jasiek pożegnał żonę, rozstał się serdecznie z swemi gromadami i pojechał na wojnę. Co się zaś stało, macie tu w wierszu.

Jasiek z Nowego Miasta pojął młodą żonę,
Lecz ledwo, że ją pojął, aż tu na obronę
Ruszyć musiał — bo Tatar pustoszył Podgórze.
Ruszył więc Jasiek w pole — a tu jego Różę
Porwali mu Tatarzy z zamku w Nowem Mieście,
I nie było i śladu po pięknej niewieście.

Mąż biedny po tej stracie Bogu się ukorzył,
Pieszo poszedł do Rzymu i tam śluby złożył:
„Że nie da krwi szlachetnej zaginąć sromotnie,
Ale wybawi żonę, lub też sam ochotnie
Legnie w boju z pogany!“ — Więc siadł i popłynął
Na okręcie do Turcji, i słych o nim zginął.

W Nowem Mieście tymczasem gdy nie było rady,
Same sobą rządziły Jaśkowe gromady,
I pług chodził po polu i statek do Gdańska,
Jakby wszystkiem rządziła jeszcze wola pańska.
Tak rządzili i wójci i mieszczanie w mieście —
Lecz gdy po kilku latach krewni chcieli wreście
Podzielić się fortuną, bo Jasiek nie wraca,
Rzekły chłopy: „Nie damy, bo to pańska praca,

A pan żyje i wróci do ludzi i roli,
Bo gdy krwi katolickiej broni od niewoli,
To Bóg mu dopomoże! Nie damy! Nie damy!“
I wyparli zajazdy i zamknęli bramy.

Kiedy później się w Grodzie wytoczyła sprawa,
Wójci zawsze tak samo: „Kto wie, że nie żyje,
Niech tu przed Chrystem Panem do przysięgi stawa,
Jeśli nie — to oddamy prędzej chyba szyję,
Niż dobro od samego Boga nam zwierzone!“
I nie było co mówić na taką obronę.

Siedm lat upłynęło — aż siódmego roku
Wraca Jasiek samotrzeć — a przy jego boku
Jedzie Pani zakryta na tureckim koniu,
Było to w dzień niedzielny i na miejskiem błoniu
Poznał lud swych dziedziców — a więc zadzwoniono
I cechy z chorągwiami, xiądz z wodą święconą
Wychodzi na spotkanie — a oni oboje
Krzyżem padli przed drzwiami farnego kościoła
I w prochu tak pokornie zanurzyli czoła,
Że lud wszystek skruszony wylewał łez zdroje....
A kiedy po Mszy świętej lud ich odprowadził,
I w zamkowym dziedzińcu poczciwie posadził,
Przyszli wójci poważnie i złożyli karby,
A mieszczanie odnieśli uzbierane skarby:
„Tyś w świecie zrobił swoje, a my doma swoje,
Oto zamek i złoto, bierz panie co twoje.“

Płakał Jasiek, płakali i młodzi i starzy,
Ale pani nikomu nie odkryła twarzy,
A nikt już więcej z ludzi nie widział jej lica,
Bo do klasztoru poszła piękna pokutnica.

Na próżno ją zwracali rodzice i krewni,
Na próżno mąż miłości błagał jak najrzewniej.
„Bo gdy nas Bóg — rzekła — z niewoli wybawił,
I znów w łasce kościoła, jak w domu postawił,
To widać po nas żąda ofiary w tym progu,
I chce byśmy oddali resztę dni już Bogu.“

Jasiek wziął to do serca, złożył swoją zbroję,
I wójtom znów na powrót oddał włości swoje,

Wdział habit trynitarski *), i zawsze w lat parę
Powracał znów do domu i niósł na ofiarę
Co wójci uzbierali, w chrześcijańskiej miłości,
I wykupywał jeńców do późnej starości!

W. P.

Piotr Gałczyk,

prawdziwy syn ojczyzny.

Było to w 1794 roku, prawie wtedy, kiedy nasz kochany Kościuszko przybył do Krakowa, a z tamtąd szedł do Warszawy na Moskali, to wam mówię, że natedy był zapał okrutny i którędy tylko przejeżdżał ten wódz ukochany a rzekł: «Chłopcy pójdźcie za mną na wroga Polski, pójdźcie ratować ojczyznę», to kto w Boga wierzył, a był przy jakiej takiej sile, to porzucał wszystko a szedł za nim z kosą na Moskala. Ten naczelnik coście wiele o nim czytali, kochał ogniście ludek prosty, wiejski, i jako z tej miłości, to się inaczej nie ubierał, tylko z chłopska, to jest w sukmanie białej, a w czapce czerwonej, jaką Krakusy noszą. Tylko aby go rozpoznać, że to on wódz kochany, to miał na piersiach krzyż złoty, co go był zdobył za morzami w Ameryce za to, że tam także bronił wolności i swobody ludu. Otoż nasz kochany Kościuszko szedł tam gdzieś blisko wsi, co jest w Polsce kongresowej, i zowie się Krzemieniówka; a był w tej wsi szwarny chłopek, zwał się Piotr Gałczyk, był się dopiero od roku ożenił, bardzo był dobry gospodarz i porządny człowiek, lubiła go niezmiernie cała gromada, ksiądz proboszcz i dwór.

Osobliwie była o nim mowa, że się z wielkiej miłości ożenił i że sobie pojął kobietę jak się patrzy, i że żyli najprzykładniej w całej wsi ze sobą. Otóż ten Gałczyk doczekał się prawie wtedy wielkiej pociechy, bo mu jego żona dorodnego powiła syna, właśnie wybiegł sobie sprosić kumotrów, ta i przysposobić co z jadła i napoju na chrzciny, po które to rzeczy

*) Trynitarze byli to zakonnicy, którzy zbierali składki i szli w pogańskie kraje wykupywać jeńców chrześciańskich.

szedł do pobliskiego miasteczka. Wchodzi w miasto, patrzy, tam czegoś wielka uciecha i ruch wielki, całe miasto przybrane w świąteczne szaty. Spyta więc co to znaczy? A tu mu powiadają, że to ukochany Kościuszko przyjeżdża i zbiera ochotników na Moskala. I na te słowa nadjechał prawie nieoszacowany polski naczelnik Kościuszko. Kto go znał, i widział kiedy, ten wie, co to za miłość, przyjemność i szczera prawda biła mu z oczów.

Jak go jeno Gałczyk zobaczył, to tak cała dusza i serce jego poleciały za nim, za tym kochanym Kościuszką, że w tej chwili zapomniał o wszystkiem, i o żonie w połogu i o chrzcinach, i o synie i o sprawunkach, tylko żeby miał kosę, toby był leciał za nim do razu. No ale się przecie opamiętał, poskrobał się po głowie, podumał, westchnął głęboko i poszedł z wielkim smutkiem do sklepu, kupił trochę cukru, trochę kawy, świeczek, kilka butelek miodu, ta i wrócił z harną miną do chałupy.

Jak tylko wszedł do izby, to jego kobieta poznała, że ma coś więcej na głowie i na sercu, taki jakiś smutny, mizerny i opadły na duchu zdał się jej.

To też jeno ją pozdrowił słowem bożem, to ona niespokojna zapytała:

— I cóż ci to Piotrusiu, żeś taki jakiś dziwny wrócił z tego miasta? Czy cię jakie nieszczęście spotkało? może ci kto pieniądze wyrwał z kieszeni? choćby i tak, toć się nie trap, ma Pan Jezus więcej z łaski swej, a potem dał ci syna na pociechę, abyś się o marne rzeczy nie frasował. No i cóż? nic mi nie odrzeczesz? czyś się o co na mnie zmarkocił?

No i tak przemawiała do niego poczciwa żona, ale on jeno spojrzał na syna, łzy mu się zakręciły w oczach, ale nie rzekł co mu to takiego na sercu.

Na drugi dzień kumotrowie się zeszli, wzięli dziecko do kościoła, ochrzcili, wrócili, poczęli co było w chałupie przejadać i miodkiem za zdrowie ochrzczonego chłopaka przypijać. Popijał i gospodarz, bo jużci jakże może podziękować kumotrom, ale smutny wzdycha, nic go nie cieszy czegoś. Nareszcie

rozeszli się kumotrowie, a Piotrowie znowu sami, jeno ze swoim synem zostali.

Kobieta zafrasowana, pocznie go znowu pytać co za przyczyna, jego takiego frasunku?

Dopiero Piotrek rozgrzany trochę miodem, a taki tylko prawdę powie, tak zaczął swoją rzecz.

— Ej moja kobieto, kochana żono, otóż ci powiem, że mi do dziwności idzie, bo ta kocham cię, i to dziecko jedyne, co mi go dał Pan Jezus, ale kocham i tę naszą polską ziemię, po której stąpam i co mię wyżywiła, i jakem ujrzał tego kochanego Kościuszkę, co z za morza przyjechał, aby bronić ojczyznę i werbuje naszych na Moskala; to mówię jakem tę ochotę naszych zobaczył i tego kochanego naczelnego, to mi ledwo dusza nie wyskoczy, cobym leciał tam z nimi na Moskala, a tu jak spojrzę na ciebie i na dziecko, to mi was znowu żal, że jakoż ja ciebie tak w połogu odejdę?

Zadumała się na te słowa białogłowa, Polka, krakowianka, jużci ona tak kocha swego Piotrusia, a do tego w chorobie, jak sobie tu dać radę? Ale ona Polka, to o ile kocha swojego, o tyle nie cierpi i nienawidzi Moskali.

Więc zadumała się trochę, ale nie długo, i rzecze:

— Piotruś, tyś zuch i potrafisz tęgo robić kosą, ciebie szkoda, abyś tu ślęczał przy mnie, kiedy drudzy idą, i kiedy potrzeba ratować ojczyznę. Idź i bij dobrze, nic ci się nie stanie, bo mi się dziś piękny sen śnił, jakośmy wszyscy troje, gdzieś w bardzo ślicznych byli pokojach, a tobie się tak kłaniali, jako samemu panu dziedzicowi.

No i poskoczył na tę mowę Pietrek do swojej i począł ją okrutnie całować, i rzekł:

— O mojaśty kochana, jakby kamień spadł z mojego serca bo ja się tego tylko bał, że ty tego nie pozwolisz, i że się zakrzyczysz za mną, ale kiedy ci dał Pan Jezus taką mądrą wolę, to zostańże z Bogiem, ja zaraz pójdę opowiedzieć się swoim, a jutro da Bóg doczekać będę gonił ukochanego naczelnika Kościuszkę i zobaczysz, że mu wstydu nie zrobię. A ty tymczasem poproś sąsiadów, to ci mało wiele pomogą, i módl się codzień do Najświętszej Panny Częstochowskiej, aby

mnie miała w swojej opiece i naszego kochanego wodza Kościuszkę.

I zrobił tak jak powiedział. Na drugi dzień kiedy słońce jeszcze było wysoko, nasz Piotr pożegnawszy się z żoną, i pomodliwszy się przed obrazem Matki Częstochowskiej, wziął kosę na ramię, kilkanaście złotówek do pasa, w torbę włożył koszulę na przewdzianie, kawałek chleba na popas i puścił się do pobliskiego miasteczka, gdzie kiedyś zobaczył Kościuszkę, a ztamtąd dogonił polskich, zameldował się samemu panu naczelnikowi Kościuszce, i stanął odważnie w szeregach nieśmiertelnych obrońców ojczyzny.

Zajrzyjmy teraz do izby Piotrowej, ale czegóż to tam tak cicho, czy tam niema nikogo? Przecież my tam dopiero wczoraj odeszli Piotrową na łóżku, a syna jej w kolebce, a na drugiej stronie w piekarni uwijała się dziewka służąca, co miała staranie o chudobie Piotrów? a dziś niema zaś żywej duszy w chałupie, nawet i stajnia zamknięta na kłódkę jak i chałupa, gdzież się to zaś podziało?

Oto patrzcież w sypialnej izbie samej pani we dworze, gładziuśka i przyjemna, w białej szacie leży na łóżku za czerwoną śliczną kotarą sama dziedziczka, obok niej stoi kołyska na ślicznych biegunach i w niej śpi dziecię, a na drugim końcu komnaty, stoi drugie łóżko, także z pościelą niby śnieg bielutką, i za białą kotarą znowu obok kołyska z dzieciątkiem — z tego białego łóżeczka wychyliła się prawie kobieta, i bierze dzieci do piersi, przypatrzmy się jej kto to? o patrzcie to nasza Piotrowa Gałczykowa, leży sobie, jakby pierwsza szlachcianka. I dla Pana Jezusa co ona tam robi?

Jest tam, gdzie jej teraz przystoi, bo juźcić ona w oczach wszystkich jest szlachcianka, bo mąż jej bije się za ojczyznę, a kto tylko kiedy stawał w Polsce w obronie ojczystej, był dorazu szlachcicem. Lecz jakże się to stało?

Oto tak! Jak jeno Piotr poszedł pod Kościuszkę, to się we dworze o tem dorazu zwiedzieli, i zaraz wszystko ludzie dopowiedzieli i o dobrej i rezolutnej chęci Piotra, i o wielkiej cnocie i miłości ojczyzny Piotrowej, że ona zaś sama wolała

zostać i na wszystko się poświęcić, a nie odmawiała, ale jeszcze doradzała mężowi, pójść bić się z Moskalem.

Tak i pani dziedziczka, co dziwnym trafunkiem, sama także w połogu leżała, a mąż jej był już w szeregach pod Kościuszką od dni kilku, posłała natychmiast swoją szafarkę z wygodną kolaską do Piotrowej, kazała ją do dworu przywieść, i ażeby jej poszacunek jaki się takim polskim kobietom należy pokazać, kazała ją w tym samym pokoju, gdzie sama leżała, umieścić, a zaś żeby Piotrowa o swoją chudobę była spokojną, kazała jej bydełko do dworskiej obory przygnać, i mieć o niem najlepsze staranie, zaś o gospodarstwie całem Piotra kazała pani karbowemu zawiadować. No i tak pędziła Piotrowa na pokojach pańskich, wygodne i bez turbacji życie. Obom tak pani jak Piotrowej chowały się chłopcy pięknie, i jak bywało że pani pozdrowiawszy gdzie wyszła ze dworu, to paniczowi dawała sać Piotrowa, a jak znowu Piotrowej kędy zajrzeć wypadło, to pani dziedziczka wzięła syna jej do piersi i dała posać jakby swojemu.

I tak zeszło kilka miesięcy, żeby nie turbacja o swoich, toby te obie matki były najszczęśliwsze, ale cóż wiele razy jakie listy przyszły, to nasze biedne kobiety, pani i Piotrowa, gdyby krwią takim kolorem się oblały, a potem pobladły, bo one obie jednako swoich mężów kochały i drżały o nich.

Ale przecie dziękując Panu Jezusowi, co przyjdzie list, to pan dziedzic pisze, że się oba z Gałczykiem trzymają dzielnie, osobliwie o Gałczyku to cuda opisywał, jak sztuką zachodził Moskali, i chociaż nie raz i nie dwa razy już ciupnął go który Moskal, to on im przecie tak dokucza i tak ich sztuką podchodzi, że go znają dobrze, a boją się jak djabeł święconej wody, i przezwali go *Lach Czort.*

Cieszy się tą walecznością swojego Piotrowa okropnie, cieszy się pani dziedziczka, cieszy cała gromada we wsi. Nareszcie jednego dnia, przychodzi list, w którym pan donosi, jaką to sztukę Gałczyk Moskalom wyrządził. Jak się już rzekło, że go Moskale znali i dobrze mieli na oku i na niego się gdzie mogli zasadzali.

Takim to sposobem i nasz sławny chłop Głowacki pono i z Gałczykiem odebrali kilkanaście armat Moskalom pod Ra-

cławicami, że jak przypadli z kosami, to się Moskale nie mieli czasu i obejrzeć, a już było po armatach.

Ale wróćmy do Gałczyka, co on to za sztukę wyrządził nieprzyjaciołom?

Oto jak go dnia jednego, już tak obskoczyli, że nie było rady, tak ci mu wytrącili kosę, i porwali do niewoli. No i jak go wzięli, tak dorazu pędzą ku Moskwie, a ztamtąd do okrutnej lodowej Syberji. Aleć nie uszli jak kilka mil od Warszawy, kiedy się zaczął gęsty las; nasi biedni więźniowie byli skuci szli każdy z jednym żołnierzem moskiewskim.

No kiedy już byli w połowie lasu, niewiedzieć jakim sposobem, że Gałczyk dał radę pofolgować kajdanom, i jak się nie rzuci na Moskala, co szedł obok niego, ta i przewalił go, a sam dalejże drapaka w gęstwią lasu. Tymczasem Moskaliska za nim w pogoń, a tu reszta jeńców naszych poczęli się odkuwać jeden drugiego i dalejże w nogi, a Moskaliska łażą i szukają, ale gdzie ich ta już znajdą, kiedy oni się nie oparli, a osobliwie Gałczyk aże w polskim obozie, i jeszcze potem dał się nie raz we znaki Moskalom.

Takie widzicie wieści przychodziły z obozu o naszym Piotrku, i tak się popisywał do samego końca wojaczki, dopiero kiedy naszego Kościuszkę wzięli Moskale do niewoli, a nasi biedacy rozejść się musieli i Polska biedna została jeszcze pod Moskalem, powrócił z wielkim żalem i pan dziedzic i nasz Gałczyk, okryty bliznami i chwałą. Nie chciał go dziedzic jeszcze długo puścić ze dworu, siadywał z nim do stołu, i lokaje zarówno z dziedzicem obnosili mu potrawy i napoje.

Ale niechże wam resztę opowiem o Gałczyku. Odkąd jeno wrócił, to on już nie był żadnym poddanym, tylko równym panu. Pan dziedzic darował mu grunta i budynki, i nawet mu kazał piękniejszą chałupę postawić, i co jeno chciał, to miał każdego czasu ze dworu. Synek jego wychowywał się z małym paniczem, i chodził z nim do szkół.

I tak żył Gałczyk dość późne lata opływając we wszystko. I słusznie, bo kto raz nastawiał piersi za ojczyznę, temu się już niepatrzy żyć w biedzie i poniewierce, bo o takim cały kraj już pamięta i pamiętać będzie, i nawet jego dzieci nie doznają biedy.

Nareszcie pomarł Piotr Gałczyk, a w kilka dni na jego grobie niewiadomo kto, bo nie żona jego, wystawił piękny nagrobek, na którym złotem wyryte były litery:

PIOTROWI GAŁCZYKOWI prawemu Polakowi ten nagrobek stawiają bracia Polacy.

Ludka z Myślenic.

Co to się dzieje między ludźmi!

(Prawdziwe zdarzenia.)

I.

Złodziejska rodzina.

To, co wam tu opowiem, nie jest żadną zmyśloną historją, ale najczystszą prawdą. Wszystko to bowiem opisuję wam według tego, co słyszałem na własne uszy w krakowskim sądzie, kiedy niedawno temu tam zaszedłem, aby się przysłuchać i przypatrzyć, jak sędziowie osądzają rozmaitych winowajców. Smutne to bardzo są rzeczy, które tu wyczytacie, ale powinny one przemówić wszystkim do serca i wyjść na dobrą naukę, jak to należy trzymać się zawsze w życiu drogi prawej i sumiennej.

Otoż najpierwej opowiem wam o rodzinie złodziejskiej. We wsi Woli filipowskiej, w powiecie krzeszowickim, mieszkał włościanin Jan Zbik. Ten Zbik miał żonę Katarzynę, córkę Maryśkę i dwóch synów Jaśka i Kazimierza. U innych ludzi główną podstawą każdej rodziny jest prawość i moralność, bo szczęście domowe i rodzinne tylko na miłości i cnocie się zakłada, w rodzinie zaś Zbików wszystko się zakładało na złodziejstwie i rozpuście.

Sam ojciec i głowa rodziny Jan Zbik był to człowiek najgorszych obyczajów, leniwy i pijak a żona jego także nie była lepszą. Gdzie zaś rodzice tak złych są obyczajów, tam niema mowy o dobrem wychowaniu dzieci, bo dzieci idą za rodzicami i na to zawsze wychodzą, na co ich właśni rodzice kierują. Jan i Katarzyna Zbikowa polubili sobie takie życie, w którem to nie trzeba dużo pracować i frasować się, jeno się żyje oszustwem i szkodą drugich.

Jan Zbik wychodził tedy często na kradzieże i okradał nietylko ludzi w własnej wsi, ale wybierał się i w dalsze strony, aby się obłowić cudzem mieniem. Zazwyczaj pod noc opuszczał dom i puszczał się na to polowanie. Gdyby Jan Zbik miał był sumienną i bogobojną żonę, byłaby go może od tej haniebnej drogi odwróciła, ale żona jego Katarzyna nie była sobie lepszą, wiedziała ona o tem, co jej mąż broi i dzieliła się wraz z dziećmi kradzionemi rzeczami. Co więcej sama Katarzyna kradła także, a niemając za grosz sumienia, poduczała razem z swym mężem także swoje dzieci do kradzieży.

I tak też musiało być, skoro Jan i Katarzyna Zbikowie lubili żyć dobrze, zjeść i wypić lepiej niż inni, a nie lubili pracować. Kto zaś bez pracy chce jeść kołacze i nie spuszcza się na zarobek i na to co mu ten zarobek przyniesie, ten prędzej czy później popaść musi w takie haniebne życie.

I tak Jan Zbik chcąc sobie dobrze podjeść a nie chcąc dobrze popracować, skradł w nocy w zimie roku 1863 swemu sąsiadowi Józefowi Ochmańskiemu 80 funtów słoniny, 25 funtów salcesonu i dużo kiełbas, w jesieni tego samego roku ukradł Piotrowi Kuźnikowi prosięta, Zofji Ślusarczykowej ukradł pierzynę, poduszki i rądel, Franciszkowi Bedliwemu wyprowadził w nocy ze stajni krowę, Szymonowi Maciejowskiemu zabrał gęsi i poduszki, Marjannie Jasikowej skradł suknie i pierzyny, a niejakiej Langierowej skradł beczkę araku i rzeczy na 200 reńskich.

Oto macie tedy siedm kradzieży, które popełnił Jan Zbik. Nie pracował tedy na życie, jeno cudzą szkodą pasł się na kradzionych kiełbasach, gęsiach i wieprzakach, piekł sobie kradzione mięso w kradzionym rądlu, zapijał kradzionym arakiem, sypiał smacznie na kradzionej pierzynie, ubierał siebie i żonę w kradzione suknie!

W takiem życiu pomagały mu żona i dzieci. Katarzyna pomagała kraść mężowi a przy tem kradła i na własną rękę a nawet swej krewnej Wikty Zbikowej nie pożałowała, jeno jej także coś zwędziła. Dzieci sobie dalej w ślad rodziców i tak i Marysia, i Jakób i Kazimierz chwytali, co gdzie mogli, znosząc do chaty.

Jan Zbik znał dobrze wieś całą i okolicę, wiedział o każdym schowku doskonale, a choć go się sąsiedzi strzegli, choć u niego rewizje robili i kradzione rzeczy odbierali, kradł sobie dalej, nie turbując się tem wiele. Gdy mu się we własnej wsi nie zdarzyła okazja do kradzieży, wybierał się w dalsze strony i opuszczał chatę na kilka dni, mówiąc, że idzie na zarobek.

Otoż pewnego czwartku w zimie roku 1864 Jan Zbik wybrał się znowu na taki zarobek, ale snać na gruby, bo się bardzo w drogę sposobił. Przewrócił sukmanę swoją na wywrót i tak ją przywdział, obwinął sobie głowę w czerwoną chustkę, a czapkę schował do kieszeni, i wziął z sobą pręt żelazny dość gruby i długi.

Wybrawszy się tak wyszedł z chaty a na dworze czekał na niego wóz, na którym siedziało kilku innych chłopów, kamratów Zbikowych. Żona widziała to wszystko, ale nie pytała się gdzie jedzie, bo przecież poczciwa kobiecina wiedziała, że nie po co innego, jeno na kradzież i rabunek. Ale zamiast przestrzegać męża, cieszyła się z tego, bo wiedziała, że mąż przywiezie z sobą coś skradzionego i będzie zysk i bal w chacie.

Jak wyjechał ze wsi Jan Zbik, tak go całe trzy dni nie było widać. Dopiero w sobotę wieczór wrócił nazad do chaty a bardzo dziwnie przy tem wyglądał. Był jakiś zaturbowany i zastraszony, miał na sobie górnicę wywróconą a na głowie miał czapkę futrzaną, tę samą, którą schował do kieszeni, kiedy chatę opuszczał. Przytem miał całą twarz osmoloną sadzą czy węglem.

Jak tylko wszedł do chaty, nie przywitał się ani z żoną ani z dziećmi, jeno prędko zawołał na córkę:

— Maryś, biegaj po wódkę!

Maryśka wzięła flaszczynę a ojciec dał jej dwie srebrne szóstki na kwartę wódki. Gdy Zbik dawał córce pieniądze, zajrzała żona, że miał w ręku także talar srebrny. Popatrzyła Zbikowa łakomem okiem na ten talar i pyta męża:

— A gdzieżeś był przez całe trzy dni?

— A tobie co do tego! — mruknął Jan.

— A zkądżeś to nabrał tych srebrnych pieniędzy? — pyta jeszcze żona.

— Milcz babo — zawołał Zbik — mam, to mam, i kwita!

Zbikowa nie pytała się dalej, bo wiedziała, że mąż jej nie pyta wiele, ale zaraz bierze się do bicia. Tymczasem wróciła Maryśka z wódką, a Zbik chwycił i całą kwartę duszkiem golnął od razu. Wypiwszy tyle wódki, rozegrzał się Zbik, poszło mu to w głowę i pijana wesołość go zebrała.

Wyciągnął pieniądze i pobrzękując niemi rzecze do żony:

— Widzisz babo, com to z sobą przyniósł.

— A zkądże to? — pyta Zbikowa.

Zbikowi wódka rozplątała język i jak przed tem nic nie chciał mówić, tak teraz rozgadał się na piękne.

— Zkąd, z zarobku — odpowiedział żonie.

— A kędyżeś ty bywał na zarobku? — pyta Zbikowa.

Zbik: Aż pod Oświęcimem!

Zbikowa: A u kogo?

Zbik: U młynarza Jędrzeja Dusika w Grojcu.

Zbikowa: A cóż to był za zarobek?

Zbik: Oho, ho! to taka historja. Wybrałem się z kilku kamratami na niego, bośmy wiedzieli, że młynarz ma grosz i na ustroniu mieszka. W nocy tak koło jedenastej godziny zapukaliśmy do młynarza do okna. Młynarz Jędrzej pyta kto tam, a jeden z nas prosi go, aby mu powiedział, którędy droga do Łaz. Młynarz odchylił drzwi, a my dalej na niego! Dwóch z naszych chwyciło go za bary, a ja z drugim zaczęliśmy go bić z całej siły; wołać, aby dał pieniądze! Długo się bestyja prosił i zaklinał, ale gdyśmy mu ledwie żeber nie połomali, zapalił świecę i dał nam klucze do skrzyń. Ale szelma od razu nie pokazał wszystkich pieniędzy, więc my go dalej bić i mordować, aż zemdlał. My też zaczęli rabować i wzięliśmy rzeczy i pieniędzy za jakie 300 reńskich a potem wywlekliśmy młynarza z chaty i takeśmy go tam zostawili.

Zbikowa: A nie wołał nikt w młynie na ratunek?

Zbik: Wołali tam potem, ale my mieli swój znak dobry i jak jeno jeden z naszych zawołał: Woda! woda! tośmy zaraz dalej w nogi, bo takeśmy się umówili.

Kiedy tak Zbik wszystko opowiedział, żona jego uradowała się, że jej mężowi tak dobrze poszło. I znowu mieli Zbi-

kowie z czego pić i hulać, aż nareszcie przyszedł im koniec. Między łotrami bowiem wtedy tylko panuje zgoda, kiedy kradną i rabują, a zaś w życiu zgodzić się nie mogą. Tak też było i u Zbików. Zbik nigdy nie żył z swoją żoną po dobremu, jeno wyraźnie jak łotr z złodziejką, bo jakież inne pożycie może być w takiem małżeństwie?

Bili się tedy z sobą Zbikowie nieraz aż do krwi, a jakoś w kilka tygodni po tym rabunku Zbik nie chciał coś dać pieniędzy żonie, a gdy się ta domagała pieniędzy i poczęła mu wymyślać, palnął ją w twarz i ztąd rozpoczęła się wielka bitka. Zbik zbił swoją żonę jak to mówią na kwaśne jabłko, a Zbikowa z gniewu i złości poszła zaraz do urzędu i wygadała wszystko, z czem się Zbik przed nią chwalił.

Zaraz też wzięli pana Zbika do aresztu a za nim i panią Zbikową, aby mu nie było nudno w kozie i ich dzieci także, aby razem pokutowali, kiedy razem grzeszyli.

Urząd dostawił całą tę złodziejską rodzinę do sądu do Krakowa i tu ich będzie temu jakich trzy tygodnie, sądzili panowie sędziowie. Wystawcież też sobie, jaki tu był widok, kiedy przed sądem stanęli i ojciec i żona i dzieci, a wszystko za rabunek i kradzież. Zbik oskarżał przed sądem Zbikowę. Zbikowa nastawała na Zbika, a ich dzieci na nich! Toż to był opłakany widok zgorszenia i przykład straszny, do czego to wiedzie życie próżniacze i brak sumienia!

Nieszczęście chciało, że sąd Zbikowi nie mógł czarne na białem dowieść, że on ten rabunek młynarza w Grojcu popełnił, bo choć Zbikowa wszystko opowiedziała, to zbrodniarz jej mąż wyparł się wszystkiego. Ale mu jednak na sucho nie uszło, bo sąd skazał go na 1 rok do kryminału, a jego żonę za kradzieże na 3 tygodnie kryminału, ich zaś córkę Maryśkę na 14 dni a syna Jana na 6 dni aresztu! I tak cała rodzina Zbików poszła do kryminału odrazu!

Niechże ta prawdziwa historja posłuży wszystkim za naukę i przestrogę, do czego to prowadzi jeżeli kto chce bez pracy żyć wygodnie! Najpierw lenistwo, potem zbrodnia, a potem kryminał, hańba i zatracenie duszy!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.